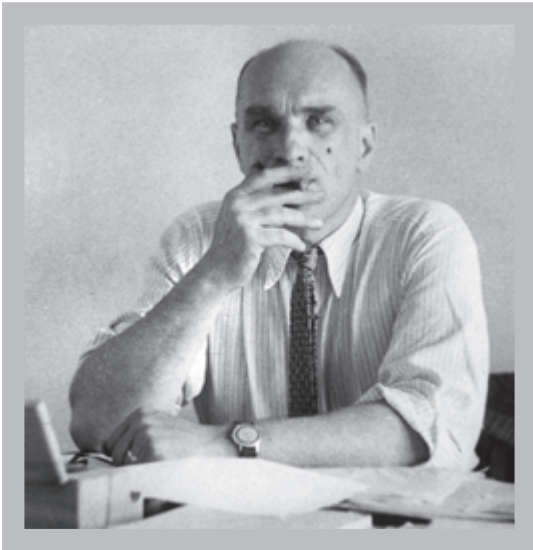
A large, bold, black letter 'I' is the central graphic element. It has a classic, slightly stylized font with a thick vertical stem and horizontal top and bottom bars. The letter is positioned on the left side of the page, and the text is aligned to its right.

Jarosław  
Iwaszkiewicz  
Książka  
moich  
wspomnień

MARGINESY



Jarosław Iwaszkiewicz (1948).

Copyright © by The Estate of Jarosław Iwaszkiewicz.

Alle rights reserved.

Published by arrangement with Beata Stasińska Literary Agency.

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Copyright © Preface by Piotr Mitzner

## DZIECIŃSTWO

Dzieciństwo moje, oddzielone wyraźnie datą śmierci ojca od dalszych lat, miało w sobie obok sielskości pewną osobliwą barwę, sprawiającą, iż gdy spoglądam na nie z wysokości dzisiejszego dnia, wydaje mi się, że upłynęło ono nie tylko w innym świecie, bo tak było w istocie, ale nawet i w innym czasie. Przez to, iż byłem dzieckiem starych rodziców, że miałem znacznie starsze od siebie rodzeństwo, sięgałem jak gdyby początkami istnienia o wiele bardziej w głąb XIX stulecia, niż na to data mego urodzenia wskazuje. A ponieważ Ukrainę i jej zapadłe kąty w XIX wieku łączyło niejedno jeszcze z wiekami poprzednimi, wydaje mi się czasami, że pierwsze lata mego życia przypadają niemal na czasy *Trylogii* – a w każdym razie na ostatnie lata Rzeczypospolitej. I chociaż nikt już z otoczenia nie chodził oczywiście w kontuszu, niektóre postaci mego dzieciństwa przybrać by w ten strój tylko należało, a żywcem przypominałyby bardzo dawno minione epoki<sup>4</sup>.

Urodziłem się w małej cukrowni, położonej pośrodku żywej równiny; urzędnicy tej cukrowni, skromni ludzie, prawie bez wyjątku Polacy, stanowili otoczenie demokratyczne, ale niepozbawione elementów szlacheckiego, bowiem ze szlachty się przeważnie rekrutowali. Cały ich obyczaj życia daleki był od nieco „cesarsko-królewskiego” stylu Polski Odrodzonej i mimo skromności całego *train* nieraz pobrzmiwały tu bała-

gulskie i stepowe echa. I te spacery zimowe saniami, i bale, na których bywały moje siostry, wyprawy na jarmarki i odpusty – wszystko to brzmiało zamilkłym echem i czasami, o których pamiętała lub które z opowiadań znała jeszcze moja matka, licząca w swoim rodzie niejednego bałagułę i utracjusza. Jeszcze co zimę ojciec opuszczał wielkie biurko, do którego poza tym był jak gdyby przyrośnięty, i wyjeżdżał do Kijowa na tajemnicze „kontrakty”, które to słowo do dziś dnia zawiera dla mnie więcej mistycznego niż rzeczywistego znaczenia; nie mam naprawdę pojęcia, co się tam robiło, po co się jeździło – jeżeli nie po to, aby przywieźć do domu dużo słodczy i trochę opowiadań o spotkanych w stolicy krewnych i znajomych. I zdaje mi się, że te kontrakty kijowskie, na których bywał Henryk Rzewuski i Groza, na których grywał Liszt, były tymi samymi, na które jeździł mój ojciec.

Lubię myśleć, chociaż, zdaje się, myśl moja jest trochę nieścisła, że właśnie w tę śnieżną zimę, kiedy moja istota zjawiła się w małym domku urzędnika fabrycznego, zawalonym powyżej dachu białymi zaspami, o kilkanaście wiorst stamtąd na te same śniegi spoglądał pisarz angielski, jeden z największych, który wówczas po raz ostatni w życiu zawitał pod strzechę swego wuja: do Kaźmierówki. I trochę pochlebiam sobie, że coś z integralnego pesymizmu tego poety przeniknęło przez głębokie zasy do naszego domu i do mojego serca, skazając je nieuleczalnie. Ale zdaje się, że Conrad nie tej zimy bawił w Kaźmierówce i że mój porywczy pesymizm daleki jest od mądrości i zrównoważenia tego idealnego gentlemana. A Kaźmierówkę raz tylko czy dwa razy w życiu widziałem, kiedyśmy „inną drogą” przejeżdżali na naszą stację kolejową, do Oratowa<sup>5</sup>.

Dom nasz, niezwykle skromny w swej formie, niezamożny, choć nie ubogi, był wzorem tego, czym jest dom pana, który przestał na swoim. Ojciec mój przez całe prawie życie był buchalterem fabrycznym o skromnej pensji. Nic wtedy nie sły-

szało się o urloпах i ojciec niezmiernie rzadko opuszczał swój codzienny spacer do biura i z powrotem. Wyjeżdżał jedynie do Kijowa za interesami lub od czasu do czasu do swej siostry – słynnej cioci Masi – w odwiedziny. Wyjazd do Elisawetgradu do krewnych mojej matki, Szymanowskich, był niesłychanym ewenementem i, przedsięwzięty ze względu na dorastające córki, zdarzył się za mojej pamięci tylko raz jedyny.

Życie mojego ojca było złamane przez powstanie 1863 roku. Ojciec mój, podówczas młody student Uniwersytetu Kijowskiego, wraz ze swoim bratem Zygmuntem przystąpił do jakiejś grupy partyzantów, zdaje się do żytomierskiej. Dopiero w 1939 roku spaliła się fotografia, którą posiadałem – rzadkość prawdziwa – przedstawiająca ową grupę powstańców z moim ojcem i stryjem. Wyglądali na niej tragicznie i barbarzyńsko.



Rodzice Jarosława Iwaszkiewicza:  
Maria z Piątkowskich i Bolesław.

Stryj mój umarł z trudów powstaniowych, przedostawszy się za granicę, ojciec zaś wykręcił się kilkunastu miesiącami więzienia w Kijowie. Nie wolno mu już było potem kończyć uniwersytetu, pomiędzy latami 1865 a 1875 przebijał się posadami nauczyciela domowego, a potem za protekcją wychowawcy i opiekuna mojej matki, barona Karola Taubego, otrzymał lichą posadkę najpierw w cukrowni Sitkowce, a potem w cukrowni Kalnik, gdzie już pozostał do śmierci.

Skromne środki rodziców – matka dorabiała gospodarstwem wiejskim – pozwalały im na rzecz jedną: na kształcenie dzieci. Brat mój Bolesław był najprzód na Politechnice Ryskiej, a kiedy z powodu afery politycznej 1899 roku<sup>6</sup> wydalono go z niej po kilku miesiącach więzienia, studiował w Wiedniu, w Monachium i Karlsruhe. Siostry moje zaś – Helena, Anna i Jadwiga – wysłane zostały na pensję panien Roguskiej i Górskiej do Krakowa. Instynkt mojego ojca w tej decyzji okazał się niezawodny. Wszyscy wiedzą, czym był Kraków na przełomie XIX i XX wieku dla myśli i dla uczucia polskiego. Ówczesna atmosfera krakowska przenikała wszędzie, nawet za mury „pensjonatu dla panienek”<sup>7</sup>. Atmosferą tą siostry moje dzieliły się z nami na długich i pamiętnych wakacjach; były one jednocześnie moimi jedynymi nauczycielkami języka, historii i literatury polskiej. Innych lekcji tych przedmiotów w życiu moim nie znałem.

Mam wrażenie, że dom nasz odznaczał się wśród innych domów drobnych kalnickich oficjalistów wyższym poziomem kulturalnym. Może by się nawet odznaczył tym pomiędzy domami obywatelstwa ziemskiego – ale tu nie miałem możliwości porównania, gdyż kasta ta była oddzielona głęboką przepaścią od sfery, do której ja należałem. Zresztą stwierdziłem potem niejednokrotnie, że najwybitniejsi przedstawiciele inteligencji kresowej pochodzili właśnie z drobnych oficjalistów i że najkulturalniejszymi środowiskami na Ukrainie były większe

zgrupowania drobnych urzędników, takie, na jakie natknąłem się później w Stawiszczach, Białej Cerkwi, Jeziornej itd. Mój ojciec sprowadzał dużo książek, o ile mu na to środki pozwalały, prenumerował stale „Gazetę Polską”, „Kraj” i „Tygodnik Ilustrowany”, a nawet sam pisywał anonimowe korespondencje do „Kraju”, zamieścił tam piękny nekrolog Karola Taubego<sup>8</sup>, a w papierach pozostałych po nim znalazłem dwa fragmenty literackie: opowiadanie ukraińskie, rodzaj legendy w stylu Gogola, oraz początek powieści z opisem pięknych Sitkowiec, gdzie poznał i gdzie poślubił moją matkę. (Fragment ten częściowo wykorzystałem w mojej powieści *Księżyc wschodzi*).

Mieszkaliśmy przez wiele lat w małym domku dość daleko od fabryki położonym, gdzie też ujrzałem światło dzienne, domek ten – zwany przez nas „stary dom” – leżał w dużym ogrodzie. Pod samymi oknami rosły olbrzymie krzaki bzu, jeden z nich tkwił tuż pod oknem pokoju mojej matki, gdzie i ja rezydowałem. Słowik mieszkający w tym krzaku śpiewał prawie w pokoju. Pamiętam długie majowe noce, kiedy cierpiałem na wrzody w uchu, a uprzykrzone trele tego ptaka świdrowały moje bębenki razem z przenikliwym bólem. Od tego czasu nie bardzo lubiłem śpiew słowików, co zawsze oburzało moją matkę. Ona mogła słuchać ich godzinami.

To stare domostwo, niskie i o grubych murach (częściowo chyba drewniane?) było zaczarowanym pałacem mego dzieciństwa. Wydawało mi się ogromne i miejscami tajemnicze. Na prawo z sieni wchodziło się do „salonu”, nigdy prawie nieużywanego, gdzie stały stare meble. Dziś dopiero na podstawie starych fotografii i zacierających się wspomnień mogę zdać sobie sprawę, jak piękne były to przedmioty, owe podwójne kanapy i fotele o miękkiej linii. Na lewo był pokój stołowy, centrum całego życia. Tutaj także stał fortepian, długi, żółty, firmy Krall i Saydler, na którym od najwcześniejszego dzieciństwa wygrywałem improwizowane sztuki. Wolno mi było



to zrobić, gdy ojca nie było w domu. Na tym też fortepianie, ale już w nowym domu, pobierałem pierwsze lekcje muzyki od mojej matki. Na nim też grała moja matka; z najwcześniejszego dzieciństwa pamiętam walce Chopina h-moll i As-dur, mazurka c-moll oraz polki i dumki „cioci Seni”, naszej krewnej, kompozytorki Seweryny Keyzer. W stołowym stał „olbrzymi” stół przykryty żółtą ceratą – proporcje całego domu, otoczenia, ogrodu wydawały mi się tak duże – dopiero gdy jako dorosły człowiek odwiedziłem stare domostwo, ujrzałem, jakie tam wszystko było szczupłe, niskie i ubogie. W stołowym pokoju przed piecem w rogu widniał jak gdyby duży próg ceglany, stół jakiś, do kładzenia drzewa. Ten rodzaj stołu był dla mnie miejscem ukochanych zabaw, ołtarzem przy mszach, które odprawiałem od najwcześniejszego dzieciństwa, okryty ornatami sporządzonymi z matczynych chustek, i gdzie przed rozpalonymi drzwiczkami pieca wymawiałem sakralną formułkę „mja-se kulase kulorum”, która mi się wydawała nieodzowną częścią mszy. Przed oknami jadalni stała gruba akacja, niezwykle rozłożysta, przesłaniała ona nieco widok swym pnem i gałęziami, ocieniającymi stół letni i letnie miejsce posiłków. Za to widok obszerny rozciągał się z następnego pokoju za jadalnią, pokoju mojej najstarszej siostry Heleny, z którym związane są u mnie bardzo liczne wspomnienia.

Przede wszystkim więc widok. Tutaj, gdzie akacja nie zasłaniała, ponad ogródkiem, ponad wykopami na wytloki, tak zwanymi żomowymi jamami, rozciągał się obszerny staw, a za stawem wieś Kalnik na wzgórzu. Zboczem tego wzgórza szło się do chaty niani Dańczewskiej, starej nianki moich sióstr. Ten widok z okna na staw tak głęboko się wbił w moją pamięć, że raz po raz pojawia się w moich utworach. Zwłaszcza kiedy staw był oświetlony słońcem i na szczycie każdej jego fali tworzyła się mała słoneczna iskierka – widok ten fascynował mnie. Dziecinny mój umysł nie mógł sobie wytłumaczyć, skąd się

biorą te gwiazdki promienne na lazurowym tle wody, i mogłem na nie patrzeć godzinami.

W Wielki Czwartek z tego okna obserwowało się, jak ludzie wracali z cerkwi z zapalonymi świecami, które trzeba było donieść do domostwa, zanim zgasły. Drobne iskierki pięły się zбочem wzgórza w niebieskiej ciemności grupami, po dwie, po trzy, i znikwały powoli w niewidzialnych chatach. Na Trzech Króli na zamrzniętym stawie ustawiano krzyże z farbowanego lodu, niebieskie, żółte i czerwone, i odbywało się święcenie wody przez popów przybyłych w uroczystej procesji. Nazywał się ten obchód „święto Jordanie”, a wbijało się ono bardzo wyraźnie w dziecienną wyobraźnię. Nie tylko moją zresztą, skoro Mickiewicz wspomina podobną procesję jeszcze w swoich *Lirykach lozańskich*. W tym też pokoju spędzałem długie zimy letnie czy jesienne w towarzystwie moich siostr, dorastających już panien. Siostry leżały na łóżku i całymi godzinami potrafiły śpiewać. Śpiewały albo pieśni ukraińskie, tęskne lub wesołe (*Stoit hora wysokaja* – jedna z najbardziej tęsknych melodii, jaką znam, albo *Hore ciji czajci...*, albo *I szumyt, i hude, dribnyj doszczyk ide*), albo polskie „zakazane” (jak *Z dymem pożarów*, *Patrz, Kościuszeko, na nas z nieba* i *O, cześć wam panowie*). Te godziny śpiewania były moimi pierwszymi przeżyciami artystycznymi i głęboko mi zapadły w serce.

Za jadalnią z drugiej strony był tak zwany pokój przechodni, ciasny i wąski. Tu mieszkała moja najmłodsza siostra Jadwiga i tu było miejsce naszych zabaw wspólnych. Jadwinia była o osiem lat starsza ode mnie i wielkim było honorem, jeżeli raczyła się bawić ze mną. W „przechodnim” pokoju stały szafy z garderobą – w szafie na drzwiach od strony wewnętrznej wisiał często płócienny worek z malutkimi pierniczkami. Pierniczki te zaraz po upieczeniu były twarde jak kamień, potem dopiero, po tygodniach, miękły i stawały się jadalne. Były tak małe, że na choinkę („sosenkę” – jak się u nas mówiło) wieszano

się je nie przekłute i nie na włóczkach – ale w papierowych rozciągliwych koszyczkach.

W tymże pokoju stała skrzynia od cukru rafinady z naszymi „skarbami”. Skarby były bardzo różnorodne, większość z nich należała do Jadwini i szczęściem dla mnie było, gdy dopuszczała mnie do ich przeglądu.

Takie rewie skarbowe odbywały się od czasu do czasu – ale dość rzadko, tak że odzwyczajone oko mogło na nowo rozkoszować się ich widokiem za każdym razem, gdy się odsuwało magiczne wieko skrzyni. Były tam pokłady pestek z chleba świętojańskiego (tak zwanych rozków – przysmaku owych czasów), szyszki olszynowe, które wydawały mi się czymś bardzo nadzwyczajnym. Olszynę spotyka się dość rzadko na Ukrainie – koło nas rosła tylko w Kamienohurce. Były także owe ciemne, prążkowane szklane kule, które udawały kule z agatu (*les billes d'agate* opisane przez Prousta) – a których przeznaczenie do dziś dnia mi jest niewiadome. Były stare kopiejski, szmaty, jedwabne kawałki sukien mamy, jeden z nich, fioletowy płatek aksamitny z szeregu okalającego obcisły stanik, do dziś dnia leży u mnie w szkatułce z innymi pamiątkami. Były tam takie ogromne zeszyty z rysunkami Jadwini, które wydawały mi się arcydziełami. Rysunki te przedstawiały sceny rodzajowe z życia rodziny lub z wymyślonych powiastek, a każdy był zaopatrzony w odpowiedni podpis. Już tylko z tradycji znałem jeden z podpisów Jadwini pod rysunkiem, który nie wiem, co wyobrażał. Podpis głosił: „Zosia na baliku, czyli balik na Zosi”. (*Honni soit qui mal y pense!*) Za to w zachowanych zeszytach oglądałem sceny: „Bolo przyjeżdża na wakacje”, „Mama smaży konfitury” – a jeden rysunek wyobrażający domek, drzewa i gołąbnik nosił podpis, który się stał przysłowiem w naszej rodzinie: „Domek pana Łukasza stał pusty i głuchy, tylko gołąbek przeleciał...”.

Jak widać z tego, Jadwinia była w dzieciństwie sentymentalna, życie jednak szybko wywabiło z niej wszelką czułośćko-

wość. W owym przechodnim pokoju odbywała się najczęściej tajemnicza zabawa w „śmierć”, której można było się oddawać jedynie, gdy mamy nie było w domu. W cieniu wieczoru Jadwina albo córka kucharki Wasyliny, Maryjka, wdziewała na siebie prześcieradło, a na twarz naciągała kartę papieru, na której rysowało się nos i zęby kościotrupa, wycinało otwory na oczy, i poczyniała nas szukać. Ja z Jadwinią lub z Maryjką chowałem się do szafy lub pod łóżko, za fotel lub w wiszące ubrania, a owa przebrana śmierć wchodziła, wyciągała ręce, schylała się pod łóżko... Do dziś dnia dreszcz mnie ogarnia, gdy przypomnę sobie uczucie strachu, którego doznawałem, tuląc się pod łóżkiem do Jadwini, gdy Maryjka w potwornej masce schylała się ku nam i ukazywała swą białą twarz. Krzyczałem przeraźliwie gdy mnie ta kostucha usiłowała wyciągnąć z mojego ukrycia. Co dzieciom przychodzi do głowy!

Za pokojem przechodnim znajdował się pokój mojej matki, gdzie i ja rezydowałem: królestwo mojego dzieciństwa. W głębi obok łóżka mojej matki stało moje drewniane łóżeczko. Zamiast siatki miało ono drewnianą barierkę z żółtymi balaskami. Tam mnie lokowano po kąpieli (z obwiązaną głową) i karmiono kaszką na mleku. Są to najdawniejsze moje wspomnienia. W pokoju tym zaraz obok drzwi, przed weneckim oknem, za którym rozpościerał swe zarośla olbrzymi krzak bzu, stała stara komoda. W niej już były ukryte nie moje skarby – ale skarby mamy. Stare wachlarze, koronki, karty, pudełko po perfumach z tajemniczym napisem „Trèfle incarnat”, książki do nabożeństwa z włożonymi weń obrazkami, mamy ślubne pantofelki z białego atlasu, chrzestna koszulka, w której chrzczono całe nasze rodzeństwo, menu rodzinnych wesel i balowych kolacji w sąsiedztwie. Te rzeczy nabrały ceny, dopiero gdy umiałem czytać, a nauczyłem się czytać bardzo wcześnie – i zupełnie sam. Oczywiście miałem drewniane klocki, które zrobiono dla mnie w fabryce (w „majsterskiej”!) i na których moja siostra



Rodzina Iwaszkiewiczów przed „starym domem” w Kalniku:  
Jarosław (w środku), siostry (od lewej): Helena, Jadwiga, Anna,  
rodzice: Maria i Bolesław (z tyłu), brat Bolesław (z przodu), 1898.

Hela wypisała wszystkie duże i małe litery. Ale sam proces czytania przyswoiłem sobie w zupełnie innych okolicznościach.

W roku 1899 wybuchła epidemia ospy u nas w Kalniku. Zaszczepiono nam ją natychmiast. Ale akurat podczas tego szczepienia rodzice bawili za granicą. Po ich powrocie nikt o tym nie pomyślał, aby ponowić te szczepienia mojej matce. I oto zachorowała na tę straszną chorobę. Po powrocie poszła gdzieś na wieś do jakiejś chaty chłopskiej kupować krowę, nie wiedząc, że w tej chacie są chorzy na ospę. Czas choroby mojej matki – to specjalna epoka. W domu była tylko najstarsza siostra Hela, tamte uczyły się w Krakowie, mnie przeniesiono do pokoju za stołowym, a w sypialni mojej matki panowała ciemność – okna zawieszono szalami – i zapach maści, którymi smarowano całe jej ciało. Poczciwa klacz Busza i biedka na dwóch kołach były w ciągłym ruchu, jeżdżąc do Daszowa, do doktora i do apteki, a wreszcie po to, aby zadowolić specjalne kaprysy, jakie moja matka miewała w czasie choroby. Pewnego razu zachciało się jej konfitur ananasowych – i za pośrednictwem lekarza, który ją leczył, dra Jarmuza, zdobyto te konfitury dzięki uprzejmości księżnej Czetwertyńskiej, właścicielki Daszowa, która przysłała cały ich słoik.

W tej właśnie epoce pozostawiony całkiem sam sobie, niemający nic innego do roboty w długie jesienne wieczory, nauczyłem się sam czytać. Pierwszą książką, którą przeczytałem (pamiętam, jak siedziałem na owym „progu” przed piecem w jadalni), był *Gucio zaczarowany* Zofii Urbanowskiej. Gdy matka wstała po raz pierwszy na wilię Bożego Narodzenia, mogłem jej przeczytać głośno cały rozdział tej uroczej powiastki. Ciekawy jestem, czy gdzie zachował się choć jeden egzemplarz *Gucia* z ilustracjami, na których występowała długa czarna postać wróżki... Kiedy po wielu, wielu latach odnalazłem dworek Urbanowskiej w Koninie, ogarnęło mnie prawdziwe i niepo-drabiane wzruszenie. Nic dziwnego.

Z pokojem matki graniczył pokój ojca, gdzie pachniało tytoniem, dobrym tytoniem, gdzie stało olbrzymie biurko ojca, identyczne z biurkiem, na którym piszę te słowa, i wisiało wielkie przydymione lustro. Do pokoju tego nie wolno było wchodzić i zachował on zawsze tajemniczy czar rzeczy zakazanych. Ojciec był poważnym, surowym człowiekiem, choć od rodziny nie stronił. Najlepiej pamiętam go czytającego gazety („Gazetę Polską”, „Kraj”, „Kijewlanina”) wieczorem, po kolacji, przy jadalnym stole...

Z innym końcem domostwa, nie mniej czarownym, łączyło stołowy pokój przejście długim, jak mi się wówczas wydawało, bardzo długim korytarzem. Prowadził on do oczywistej przybudówki, tak zwanego zimnego pokoju, którego używało się tylko latem, i dalej do kuchni.

„Zimny pokój” latem służył za pokój gościnny. Pamiętam rezydujących w nim krewnych i znajomych, na przykład koleżanki siostr, które często do Kalnika przyjeżdżały. Z „zimnym pokojem” połączone jest dla mnie także najdawniejsze wspomnienie rodziny Szymanowskich. Widzę Nulę Szymanowską, wysoką, zgrabną pannę spacerującą po nim. Ma na sobie różową bluzkę (przez całe życie ulubionym jej kolorem był różowy) i sztywny kołnierzyk, ściśle obwiązany różową atlasową wstążką, związaną na niedużą kokardę z boku...

Ileż rzeczy przeminęło i w proch się obróciło od tego czasu, a atlasowy błysk tej kokardy trwa w mojej pamięci, jakbym go teraz miał przed sobą.

Na jesieni „zimny pokój” zmieniał się w spiżarnię. Leżały w nim na matach słomianych stopy śliwek, wozami przywiezione ze wsi Szabelna, słynącej z ogrodów, albo orzechów włoskich w zielonych skorupach. Czyszczeniem tych orzechów zajmował się cały dom i wszyscy w tym czasie chodzili z brązowymi palcami. W tym pokoju mieszkały różne klucznice i gosposie, rezydowała czasami babunia Czekierska i lokowały

się wszelkiego rodzaju krawcowe, rezydentki, dalekie krewne, które raz po raz zjawiały się na horyzoncie.

Dalej za korytarzem była kuchnia, bielony przybytek z dwóch izb złożony, królestwo kucharki Wasylińny, kucharza Wasyla Szistki albo kogoś, co pełnił dorywczo funkcje tego typu. Ja najlepiej pamiętam Wasylińnę, była to moja wielka przyjaciółka. Okazała baba, czerwona na twarzy, z brodawką koło nosa, pozwalała mi przebywać w kuchni, bawić się kolorową fasolą. Razem z Jadwinią wypiekaliśmy pod jej okiem znakomite ciasteczka z ziarenek dyni drobno pokrajanych i pomieszanych z cukrem, a ilekroć Wasylińna piekła bułki, wypiekała dla mnie małego ptaszka. Ptaszek miał skrzydełka, ogonek, dziób – i zamiast oczu dwa ziarenka pieprzu wtłoczone w główkę z ciasta. Kuchnia, spiżarnia za nią położona to krainy baśni już zupełnej... Spotkać tu można było starego Gdala z Daszowa, ubogiego Żyda, który trochę żebrał, trochę handlował i na święta żydowskie przynosił zawinięte w szmatkę dwa kawałki „hamana”, słodkiego ciasta z miodem; śpiewał on żydowskie piosenki i przytupywał do melodii majufesa; widywało się tu wspaniałego Borucha, atletę z czarną jak smoła brodą, który dostarczał mięso i był bardzo pomocny w epoce choroby mej matki, stanowiąc łącznik z Daszowem; wreszcie zjawiał się tu ślepy Semen, lirnik z Daszowa, który od czasu do czasu odrywał się od swej pozycji przy „kołowrocie” w tym miasteczku i obchodził domy. U nas stawał obok siebie na ławce miseczkę drewnianą malowaną w złote, czarne i purpurowe kwiaty i kręcił swoją lirę, której dźwięk przypominał brzmienie klawesynu; drżącym głosem śpiewał dumy i ballady o Panu Kaniowskim i o Seritce Marysi.

Najbardziej mnie jednak zajmował w kuchni brat Wasylińny, do którego w zapale powiedziałem kiedyś *did'ku, rozkaži meni kaz-ku*, co wzbudziło i śmiech, i oburzenie. Chciałem bowiem powiedzieć *diad'ku* – co znaczy „dziadku”. A *did'ko* to znaczy „diabeł”.



Ów brat Wasyliny, którego imienia już nie pamiętam, opowiadał mi godzinami bajki, z których wiele rozpoznałem potem w opowiadaniach Gogola. Były tam i tragiczne, i zabawne. Jedna z nich podobna do *Calóveczki* Andersena, z tą różnicą, że upragnione dziecko nie rodziło się z tulipana, ale wręcz z niepachnących wydzielin ludzkich. Mogłem tych bajek słuchać godzinami – a potem jechać z Wasyliną i jej bratem (dziś to jego „braterstwo” wydaje mi się nieco podejrzanym) na jarmark do starego Daszowa „starą drogą” koło ukochanej „popowej lewady”, aby kupować śliwki, obwarzanki i małe gliniane naczynka...<sup>9</sup>

Oto jest opis naszego starego mieszkania. Dom stojący w olbrzymim – jak mi się wówczas wydawało – ogrodzie, gdzie były stare grusze, olbrzymie krzaki słodkiego agrestu, zarośla bzu i osiny, ogrodzenie z chrustu plecionego w deseń i to miejsce pomiędzy krzakami, polanka, na której wymurowano piecyk do smażenia konfitur (zapach rozpalonej blachy, drzewa, przypalonych syropów i różowych szumowin!), przy którym mama spędzała długie letnie dni, przy czym towarzyszyliśmy z taką lubością – zaplątał się w jakieś mgły odległości, stał się jakimś literackim echem bajki, czymś bardzo nierzezywistym – i chwilami wydającym się mi nie wspomnieniem, lecz raczej wymysłem zaczerpniętym z fantazji, a częściowo z lektury<sup>10</sup>.

Budynek ten należy już do bezpowrotnej przeszłości. Miałem sposobność do skonstatowania, że nie pozostało z niego ani śladu, a właściwie myślę się: pozostał po nim ślad, gęstsza i bardziej zielona trawa, określona konturem znikłego domu. Mogłem więc na tym konturze pokazać nawet miejsce, gdzie stało łóżko mojej matki, w którym się urodziłem<sup>11</sup>.

Potem, w epoce, którą już konkretniej pamiętam, przenieśliśmy się do „nowego domu”; wydawał mi się on pałacem w porównaniu do „starego”, był jednak o wiele mniej sympatyczny

i miał tylko nieduży, choć ładny ogródek. W „nowym” domu nastąpiła epoka niedługiej, ale wyraźnej pomyślności w sytuacji moich rodziców. Dom został ładnie umeblowany, mieliśmy parę koni, kucharz rezydował w olbrzymiej kuchni, zastępując okazałą kucharkę Wasyłynę, władczynię części gospodarskiej „starego domu”, od której posłyszałem wiele bajek ukraińskich, jakie mi opowiadała całymi godzinami<sup>12</sup>. Owa epoka pomyślności – jedyna, jaka była udziałem mojej matki – wprowadziła do naszego domu pewne ożywienie. Przyczyną tego mogły być także dorastające panny, moje siostry, stanowiące jak zawsze magnes towarzyski. Z takich ożywionych dni pamiętam doskonale ostatni „zjazd familijny” rodziny mojego ojca, jaki odbył się w naszym domu na początku lata 1901. Zjazdy takie odbywały się regularnie, kiedy przybywał na urlop do Europy najmłodszy brat mojego ojca, Czesław, pełniący obowiązki lekarza wojskowego w Aszchabadzie, w rejonie Zakaspijskim. Wówczas, zanim stryj wyruszał na wypoczynek do rodziny swojej żony w Radomskie, zjeżdżali się trzej bracia Iwaszkiewiczowie oraz ich siostra wraz z całymi swoimi rodzinami, aby pewien czas spędzić razem. Dwa takie zjazdy pamiętam: jeden z 1898, u mojej ciotki Biesiadowskiej. Zachowała się z niego bardzo zabawna fotografia. Drugi odbył się u nas. Stan interesów mojego ojca pozwolił mu w tym wypadku na rozwinięcie gościnności do stopnia, który mi wówczas wydawał się przepychem. W każdym bądź razie było w naszym domu bardzo wesoło; średni brat mojego ojca, Antoni, miał dwóch synów, najmłodszy trzech, wszyscy, a zwłaszcza synowie stryja Czesława, tak zwani Azjaci, odznaczyli się temperamentem. Toteż nasz szczupły dom przez parę tygodni ich pobytu o mało nie był rozniesiony na kawałki. Już wtedy w stosunkach z moimi kuzynami wychodziła na jaw moja nieśmiałość, nieumiejętność współżycia z ludźmi, moja osobność – która utrudniała mi używanie przyjemności towarzystwa, a potem prześladowała mnie

przez całe życie. Z punktu stałem się kozłem ofiarnym i celem drwin i żartów moich kuzynów, jak później byłem prześladowany przez innych krewniaków w Tymoszwówce.

Ostatniego wieczora zjazdu rodzinnego zgromadziliśmy się wszyscy za domem przy rozpalonym ognisku i zakończyliśmy rodzinne obcowanie chóralnym odśpiewaniem szeregu pieśni, między innymi także „patriotycznych”. W cichy czerwcowy wieczór śpiew ten rozlegał się daleko, ku zachwytowi naszych najbliższych sąsiadów. W owych uśpionych czasach był to już jak gdyby czyn polityczny, w każdym razie za taki był uważany przez zabiedzonych urzędników cukrowni<sup>13</sup>. Przypuszczam, że inicjatorem tego zakończenia był mój ojciec.

Najbardziej zaprzyjaźnionym z nami domem rodzinnym Kalnika był dość dziwaczny, ale interesujący dom państwa Madeyskich. Mimo niezwykle skromnego poziomu – pochodzenia był na poły arystokratycznego. Pan Madeyski był synem księżniczki Trubeckiej i marszałka szlachty jednego z powiatów, matka zaś jego rodziła się z Rościszewskiej, kochanki cara Aleksandra I. Teraz chodził w zabawnym kożusku z barankami i w małej maciejówce, pracował przy selekcji buraków i odwiedzałem go nieraz przy pracy: siedział przy dużym okrągłym stole i zapisywał coś w notesie. Opiekował się nami, gdy rodzice wyjeżdżali za granicę, przychodził na kolację i zasypiał przy stole. On to mnie nauczył pewnej sztuczki przeciw bezsenności, którą stosuję do dziś dnia: gdy nie można zasnąć, trzeba powtarzać bez końca: jeden burak, jeden burak, dwa buraki, jeden burak, dwa buraki, trzy buraki... Gdy się dojdzie do dziesięciu, trzeba odejmować po jednym. Ale końca się nie dochodzi, lekarstwo skutkuje. Myślę, że pan Madeyski tego środka nie używał. Ożenił się on z osobą starszą od siebie znacznie, dawną nauczycielką dorastających sióstr, pochodzenia dość podrzędnego, ale mającej w sobie tradycje Żmichowskiej i innych „entuzjastek”. Przyjaźniła się

z Różą z Dobrowolskich<sup>14</sup> Kruszyńską; w czasie kiedy ją znałem, pani Madeyska była osobą doszczętnie zdziwaczalą, ale mimo wszystkie swoje dziwactwa ogromnie miłą, dobrą i dla mnie najsympatyczniejszą. Pod jej opieką zostawałem zawsze podczas wyjazdów matki do Krakowa, Kijowa czy Elisawetgradu. W jej domu znajdowałem zawsze jakieś przyjemne zabawy i ubóstwiałem oglądanie u niej Biblii z ilustracjami Dorego<sup>15</sup>, jej pobożności i dość śmiesznej bigoterii zawdzięczam swoje pierwsze wrażenia religijne, a stąd płynął i mój zapal do odprawiania mszy „na niby”, i pociąg do religijnych uroczystości, który wyraźnie objawiałem przez wszystkie lata mojego dzieciństwa.

Pobożność pani Madeyskiej była bardzo dziwaczna. Uchylając się od obowiązku pilnowania męża i wychowania synów, po stracie jedynej córki, przenosiła się – najczęściej piechotą – z jednego odpustu na drugi, od jednego kościoła do drugiego – często całymi milami – modląc się, poszcząc, odprawiając nowenny. Ascetyzm swój posuwała do tego stopnia, że nie chciała sypiać w łóżku. U mojej ciotki Didkowskiej w Ilińcach sypiała zwykle na kozuchu pod stołem – za co obdarzono ją przezwiskiem „Podstoliny”. U nas sypiała w sieni na ogromnej skrzyni, przeznaczonej do przechowywania futer i baranic, i pewnego razu mój ojciec, myśląc, że to pies podwórzowy spędza noc na owym kufrze, dzielił porządnie laską biedną panią Madeyską. Czasami sypiała w stołowym pokoju skulona na półokrągłej cecaratowej kanapce, gdzie nie mogło jej być wygodnie, aczkolwiek doskonałe łóżka i pościel miała do dyspozycji.

Pobożne legendy, podania, opowiadania, wizerunki świętych, relacje świętej Bernardki, wizje Katarzyny Emmerich, wszystko to przychodziło do mnie od pani Madeyskiej, która w przerwie pomiędzy jedną a drugą pielgrzymką zatrzymywała się we własnym domu albo nocowała u nas, albo odnajdowała się w sieniach czy pod stołem u cioci Didkowskiej.

W momentach zaś kiedy zjawiali się goście, towarzystwo, pani Madeyska wkładała jedwabną suknię, przypinała białą koronkę pod brodą, przywoływała swoją francuszczyznę i stawała się miłą, bardzo dystyngowaną osobą. Rzadkie to były momenty. Pani Klotylda znowu wkrótce w chustce na głowie, w męzowskich butach na nogach, szła o ciemnym świcie na roraty do Iliniec, na odpust do Tynny lub na nowennę do Kuny.

Do pani Madeyskiej latem zjeżdżała z Kijowa jej krewna, pani Dobrotworska. Nie było to przezwisko, ale prawdziwe nazwisko staruszki. *Nomen omen*. Niesłychanej poczciwości osoba, pobożna również, odgrywająca pewną rolę w kijowskim Towarzystwie Dobroczynności, w braku własnych dzieci zajmowała się wychowaniem cudzych, między innymi swoich siostrzeńców; z nich panna Fruzia Miączyńska często bawiła w naszym domu, szyła suknie dla matki i sióstr, podobała mi się ogromnie i dokuczano mi powszechnie, że była moją pierwszą miłością.

Z owych większych przyjęć w „nowym” domu, poza wizytami kolegów mego brata, poza przyjazdami krewnych, jak Feliksa Szymanowskiego, wuja Artura Taubego – przypominam sobie większe przyjęcie w dzień urodzin mego ojca, 20 stycznia 1902 roku. W rozgwarze mnóstwa osób, w ścisku obu saloników pamiętam zjawienie się naszej sąsiadki, pani Kossarskiej. Żona dyrektora cukrowni, przywieziona z odległej Litwy, piękna jak anioł, zawsze zupełnie samotna, nikomu się nieudzielająca, nigdzie niechodząca i czas trawiąca na dyletanckim malowaniu pejzażów lub graniu na fortepianie, była to postać zupełnie powieściowa i zawsze fascynująca moją wyobraźnię. Czasami latem widziałem ją przechodzącą w oddali w lekkiej sukni narzuconej na halki i gorsety owych czasów, w gęstej białej woalce osłaniającej ją od słońca, z jasną parasolką w ręku, i śledziłem jej powolne kroki zadziwionym, zainteresowanym spojrzeniem. Tego wieczora pamiętam, jak

przyszła w białej jedwabnej sukni, w białych koralach na posągowej szyi, w hełmie ciemnozłotych włosów (złośliwi mówili, że ruda). Wydaje mi się, że owo fascynujące wrażenie, jakie czyniła na mnie ta kobieta, działało również i na mego ojca. Ten dzień to były ostatnie jego urodziny, umarł następnego lata. I oto piękna pani Helena przychodziła do niego jak wspomnienie wszystkiego, czego nie zaznał w życiu, jak sama uroda życia w tej białej jedwabnej i obcisłej sukni. Z pewnością było mu żal. Te lata monotonne i jednostajne, które spędził przy biurku, wydawały mu się stracone, z matką nie wiem, czy się rozumieli; i lubię myśleć, że w tej nagłej skłonności, jaka ku sobie schyliła tego wieczora starego człowieka i piękną kobietę, uczyli coś wspólnego, co ich łączyło, dolę zmarnowanego życia. Biała postać pani Kossarskiej błysnęła jak promień słońca o zachodzie, jak kwiat lipowy wonnie spadający na głowę starego Forsyte'a. Pani Kossarska wyszła wcześniej od innych, zatrwożona, znużona, tuląca się w boa z białych piór i w kołnierzyk jasnej szubki. Widzę, jak ojciec mój żegna ją w przedpokoju, całując w ręce. Mam wrażenie, że potem była u nas dopiero na jego pogrzebie<sup>16</sup>.

Gdzieś głęboko w tradycje polskie i w barbarzyńskie, ale wesołe bytowanie szlacheckie sięgały coroczne obchody świąt w naszym domu. Skromniejsze i banalniejsze były święta Bożego Narodzenia, domowe, serdeczne święta. Nieprawdopodobne natomiast dzisiaj wydają się obchody wielkanocne, z całotygodniowym przygotowaniem święconego. Miało to formy tradycyjne, od których odstąpić było niepodobna. I jak w Kościele katolickim Wielki Tydzień jest związany ze specjalnymi – poetyckimi dla mnie – obrzędami, tak i Wielki Tydzień mojej matki był wypełniony ściśle określonymi zabiegami, które zmierzały do tego, aby jedzenie świąteczne wypadło możliwie okazale i imponująco. Przepisy babek i prababek wychodziły wówczas z ukrycia – i dzień za dniem rozwijał się

podług raz na zawsze ustalonego planu, aby w Wielką Niedzielę rozkwitnąć przepysznym stołem wielkanocnym, ustawionym w jednym z pokojów. Porządek był następujący: Wielki Poniedziałek poświęcano czynnościom wstępnym, jak to tłuczenie cukru na mączkę, tłuczenie korzeni, kardamonu, muszkatelu, goździków, przebieranie rodzynek, parzenie migdałów, przesiewanie mąki; we wtorek pieczono drożdżowe mazurki i pomniejsze ciasta; środa była dniem mazurków trwalszych i szycia form papierowych na ciasta; czwartek – tortów i zwykłych mazurków: nadchodził wreszcie piątek – wielki dzień pieczenia bab; w sobotę pieczono mięsiva, farbowano jaja i wreszcie ubierano stół, posyłając chleb, sól, jaja i trochę ciast do święcenia. Matka moja słynna była ze swoich mazurków, zwłaszcza cukierkowych, bez mąki; znała przepisów na nie około czterdziestu. Nic to jednak było w porównaniu do trudności, jakie musiano przezwyciężyć przy pieczeniu bab. Dzień ich wyrobu był dniem ciężkiej pracy, żółtka do nich użyte liczyło się na kopy, ubijało się je czy tarło w donicach parę godzin, po czym przychodził moment, kiedy ciasto rosło i kiedy każdy większy hałas mógł sprawić jego oklapnięcie – najgorszą katastrofę, jaka się mogła w okresie wielkanocnym zdarzyć. Z formami na baby też był kłopot wielki, gdyż nasze ukraińskie baby miały inny kształt niż tutejsze, pogardzane „koroniarские” czy też „warszawskie” babki. Były to twory znacznej wysokości i równej cylindrycznej powierzchni. Z początku szły papierowe formy, ale baby w ten sposób pieczone były za niskie<sup>17</sup>. Wreszcie mama w porozumieniu z nadwornym blacharzem fabrycznym zrobiła wynalazek blaszanych form na baby, leżących, zaopatrzonych w drzwiczki bezpieczeństwa, które otwierały się automatycznie, kiedy wyrosnięte ciasto wypełniało całe wnętrze. Pamiętam, jak kiedyś, gdy baby były w piecu, te drzwiczki się otworzyły i pół ciasta takowego wylało się na zewnątrz, tworząc we wnętrzu pieca wspaniałą grzyb!<sup>18</sup>

Gdy wreszcie baby upiekły się – a siedziały w piecu ze dwie godziny, przy czym przez cały czas trzeba było chodzić na palcach i mówić szeptem – następował dramatyczny moment wyjmowania z pieca. Wtedy trzeba było wytężyć całą uwagę po to, aby się jeszcze gorące ciasto nie wykrzywiło, jak na słynnym rysunku Andriollego. W tym celu wprost z form baby przekładało się na poduszki i dziewczęta kuchenne kołysały je na poduszkach, jak usypiające dzieci, dopóki ciasto nie ostygło. Niezapomniany był to widok, kiedy grono kobiet z poważnymi minami kołysało owe baby w obrzędowy sposób, jak gdyby od tego zależały losy świata.

Kuzyn mojej matki, Konrad Iwański, zasłynął w swoim czasie, za wczesnej młodości, ze swoich figlów. Mianowicie miał on zwyczaj w momencie „wyrastania” bab trzaskać tak drzwiami, że ciasta zapadały się. Wtedy matka ze służebniami, chcąc uniknąć złośliwości chłopca, umyśliły piec baby w nocy. Konradek dowiedział się o tym – i potajemnie wstawszy ze snu i wdrapawszy się na dach, huknął do piekących się bab z pistoletu przez komin. Efekt był podobno piorunujący<sup>19</sup>.

Wieczorem w Wielką Sobotę jechało się na rezurekcję do Iliniec. Procesja wielkanocna w ciepłym wieczornym ukraińskim mroku, kiedy ksiądz z monstrancją przechodził naokoło ładnego ilinieckiego kościoła, sprawiała wrażenie, jak gdyby ksiądz błogosławił temu jedzeniu – którego obrzędowość tak oburzała głodnego suchotnika Stanisława Brzozowskiego (kolegę mojego brata z gimnazjum w Niemirowie), ale i nie tylko temu jedzeniu. Błogosławił i temu kościołowi, pomnikowi naszej kultury, i temu domowi, gdzie się nie tylko jadło, ale czytało i myślało, i temu całemu krajowi, z którym związało nas tyle prądów talentu i umiejętności.

Nazajutrz po długim poście – Wielki Tydzień suszyło się zupełnie, bez masła i nabiału – następował moment święconego, uroczysty i radosny. Ojciec dzielił się ze wszystkimi



święconem jajkiem. A po święconem schodzili się panowie z całej fabryki, zjeżdżali się z okolic, aby złożyć mej matce życzenia świąteczna i zakosztować jej wielkiego kunsztu kulinarnego, przebierając w czterdziestu gatunkach jej mazurków<sup>20</sup>.